



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Krystyna Wojciechowska

## Doświadczenia nastolatki

31 sierpnia 1939 roku. Mam 11 lat. Uczęszczam do żeńskiej szkoły podstawowej. Otrzymałam promocję do klasy VI-tej. Mieszkam w Śremie. Jestem potomkiem kupieckiej rodziny. Ojciec mój jest powstańcem wielkopolskim, kupcem, fabrykantem i społecznikiem. Posiadamy sklep z konfekcją męską, którego moja mama, brat i ja jesteśmy współwłaścicielami. Mieszkamy u państwa Ilskich w rynku. Zajmujemy 5-pokojowe mieszkanie. W 1936 roku Matka wychodzi ponownie za mąż. Kornel Jachimowicz jest zarządcą majątków Błociszewo, Donatowo, Gaj (właścicielem jest Daniel Kęszycki). Ślub odbywa się w Błociszewie. Trudne warunki w rolnictwie powodują, że zostaje zwolniony z pracy, pozostaje jednak w przyjacielskich stosunkach z synem hr. Antonim Kęszyckim. Mam mnóstwo koleżanek, najserdeczniejszą jest Żydówka Ela Landmann. Uczęszczamy do tej samej klasy.

1 wrzesień 1939 roku. Wczesnie rano zostałam zbudzona złowieszczym słowem „wojna”. Właściwie zmartwiona nie byłam, coś się wreszcie zacznie dziać! Ubrałam się bardzo prędko i biegiem, rozentuzjadowana wpadam do przyjaciółki. Ela! Wojna! W poniedziałek nie idziemy do szkoły. Zawiedziona byłam ogromnie, ponieważ cała rodzina pogrążona była w największej rozpacz. Nie rozumiałam tych lez. Jak się później okazało Elę, jej rodzinę, w tym dziadka rabina widziałam po raz ostatni. Podniecona wróciłam do domu. Do paska przypięłam maskę gazową, z którą miałam się nie rozstawać. Ćwiczenia przeciwgazowe odbywały się w szkole przez cały miniony rok. Około godziny 10-tej nad Śremem zaczęły krążyć dwa samoloty bojowe z polskimi znakami rozpoznawczymi. Dzieciarnia oraz dorośli wylegli na ulicę wiwatując zawzięcie pełni nadziei. Samoloty leciały bardzo nisko nad domami. Niebawem mieliśmy się dowiedzieć, kto siedział za sterami. Gruchnęły bomby. Panika, płacz. Założyłam maskę i biegiem do umówionego schronu u znajomego profesora. Siedziała już tam Mama, brat oraz rodzina profesora. Schron znajdował się na najwyższym piętrze, w pomieszczeniu bez okien. Drzwi oklejone uszczelniającym paskiem. Zmęczona biegiem w masce zaczęłam ją odsuwać, aby zaczerpnąć powietrza. Wszyscy siedzieli spokojnie w maskach. Wyglądało to przekomicznie. Raptem zauważyli, że nie korzystam ze swojej. Euforia – nie zostaliśmy zagazowani. Dylemat – czy na zewnątrz jest również bezpiecznie. Ktoś z dorosłych zaryzykował. Mogliśmy wyjść z tego dusznego pomieszczenia, w którym istotnie groziło niebezpieczeństwo uduszenia.

Po przedpołudniowych emocjach Mama pakowała ubrania, aby wywieźć nas z miasta. Z tuby naszego „Marconiego” dowiedzieliśmy się, że bombardowania były prawie we wszystkich nadgranicznych miastach. Wiadomości również nie były tak entuzjastyczne, jak przed wojną. Mama zamartwiała się nieobecnością Ojczy. Pracował w majątku Głębokie k/Gniezna. Nie mieliśmy od niego żadnych wiadomości.

Wieczorem znajomy nauczyciel z Mechlina zabrał nas do siebie. W niedzielę 3 września przyjechał po nas ojczym i na trochę pojechaliśmy do domu. Na wieść o bombardowaniu Śremu, przerażony przyjechał bryczką do domu i wobec rozwijającej się sytuacji pozostał. W niedzielę odwiedził nas brat ojca, Bogdan Jachimowicz – porucznik, kawalerzysta Armii „Poznań”. Stacjonowali gdzieś blisko. Wieści były niepomyślne, atmosfera bardzo przygnębiająca. Z całej rozmowy zapamiętałam tak sformułowane zdanie: „Będziemy się cofać, a zgrupowanie będzie na Błotach Pińskich. Tam oni ugrzęzną”. Widzieliśmy go po raz ostatni. Zginął w Starobielsku.

We wtorek mieliśmy wyjechać na wschód. W poniedziałek 4 września można było zaobserwować pojedynczych żołnierzy lub w grupkach. Brudni, zmęczeni, przychodzili się napić lub coś zjeść. Pamiętam szczególnie, że młody chłopak nie mógł w ogóle mówić. Mówił szeptem. Kiedy podawałam mu wodę powiedział: „Żal mi ciebie dziecko, idzie piekło. Armii już nie ma, a dowództwo uciekło za granicę.” Nie zdawałam sobie sprawy, co to oznacza. Moja wyobraźnia nie była jeszcze tak rozwinięta. Wkrótce przeszłam nad tym do porządku dziennego. Przygotowywałam się do wędrówki.

Wyruszyliśmy na wschód wcześniej rano 5 września, załadowanym wozem z bagażami i rodziną oraz bryczką, którą powoził Ojczym. Na tylnym siedzeniu siedziałam ja, mając w skrzyni załadowane jajka. Posuwaliśmy się bardzo powoli, ponieważ szosy zatłoczone były uciekinierami, wozami, wózeczkami, ludźmi z tobołami. Jechaliśmy rocznymi drogami Zaniemyśl-Środa-Września. Około południa raptem nadleciały trzy niemieckie samoloty i kosyły z broni maszynowej do tej ciżby, posuwającej się po szosie i rozbiegającej po polach. Zawracali kilka razy. Ludzie chowali się pod wozami, za drzewami, ale niewiele to pomogło. Słyszę i widzę po dzień dzisiejszy kwik koni z rozerwanymi wnętrzościami, pozabijane dzieci, nieludzki krzyk matek i rannych. Fachowej pomocy prawie żadnej. Po zakurzonych twarzach sływały łzy bezradności.

Wiadomości wprost zastraszające. Deptali nam podobno po piętach. W błyskawicznym tempie zajmowali miasta. Ojczymowi szczególnie zależało na pośpiechu, gdyż był powstańcem wielkopolskim, a listy uczestników powstania były w posiadaniu Niemców. Dzień zbliżał się ku zachodowi, a my posuwaliśmy się coraz wolniej. Między Środą a Wrześnią w majątku Murzynowo Kościelne mieszkała krewna Ojczyma. Zbiedzeni całodniową gehenną, postanowiliśmy zajechać i odpocząć. Przyjęto nas bez entuzjazmu i z warunkami finansowymi. My owszem, możemy pozostać we dworze, ale nauczycielstwo /hołota/ dostanie do dyspozycji szkołę – niech się tam urządzają. Mama po przejściach minionego dnia kategorycznie odmówiła dalszej wędrówki. Ojczym samotnie wyruszył na wschód. Między nami a nauczycielstwem, tymi zacytowanymi ludźmi, urwała się nić przyjaźni. Pretensje o bytowanie.

Ciotka Józia – osobowość szczególnie energiczna i władcza, pani na Murzynowie. Jej siostra – Zosia – stara panna, przeciwieństwo tej pierwszej. Aniela – sierota, zajmowała się prowadzeniem domu. Majątek utrzymany wzorowo. Park, stawy rybne, ogród warzywny, kurniki z masą drobiu różnego rodzaju. Od chwili wybuchu wojny wszystkie bramy pozamykane, nikomu obcemu wejść nie było wolno. Od początku byłam ulubienicą ciotki Józii. Ja również darzyłam ją podziwem. Czar jednak szybko przysł. W środę, w czasie obchodu gospodarstwa, pod bramę podeszli młodzi ludzie z maleńkim oseskiem. Płacząc błagali, aby ich wpuścić chociażby do stodoły. Dziecko ma gorączkę, a noce bardzo zimne. Usłyszałam – „Psie głosy nie idą pod niebiosy”. Kiedy w czwartek rano zobaczyłam ją rozmodloną, z oczami wzniesionymi ku górze i przyjmującą sakrament, nie mogłam uwierzyć w tożsamość. Moje rozterki zostały przerwane /przyjazdem/ objazdem Niemców na motorach. Spokojnie objechali wieś oraz zabudowania dworskie. Ogólne poruszenie. Nie zadawali pytań. Odjechali.

W czasie obiadu jak spod ziemi do jadalni wkroczyli oficerowie niemieccy. Wyglądali jakby przed chwilą opuścili salon mody. Zwrócili się do Ciotki: „Łaskawa pani pozwoli, jesteśmy głodni. Czy możemy się dołączyć?”. Ciotka bez słowa z podniesioną głową dała znak do odejścia od stołu, zostawiając Niemców zadowolonych z sytuacji. Mimo zakazu wyjścia poza obręb dworu, wymknęłam się, aby zobaczyć co dzieje się na zewnątrz. W parku, ogrodzie, na trawnikach i pod drzewami odpoczywali żołnierze niemieccy. Bramy pootwierane. Na podwórzu w równym rzędzie stały samochody, przy nich masa żołnierzy. Traktowali mnie bardzo przyjaźnie. Wkrótce cały mój fartuszek wypełniono wyrobami czekoladowymi. Kiedy z tą zdobyczą pokazałam się w domu, zapanowała zgroza i przerażenie. Zabrano całą zawartość fartucha i demonstracyjnie, mimo interwencji służby, że oni to zjedzą, wszystko zostało przez Ciotkę Józję spalone.

Wojsko opuściło majątek. We dworze pozostało dwóch oficerów. Uświadomiona, omijałam tych panów. Życie się stabilizowało. Czekaliśmy na wiadomość lub przyjazd Ojczyma, aby wrócić do domu. Matka była bardzo atrakcyjną kobietą i znała język niemiecki, więc umizgi jednego z oficerów stawały się coraz bardziej natarczywe.

Wracaliśmy „Wolantem”, a więc jak na owe czasy bardzo ekskluzywnie, równocześnie posiadając specjalny glejt na bezpieczny przejazd. Lecz to, co zobaczyłam, budziło przerażenie. W przydrożnych rowach leżały zwłoki świeżo zabitych ludzi. Bardzo często mijaliśmy patrole niemieckie, legitymujące i rewidujące. Po raz pierwszy odczułam przerażenie. Za Zaniemyślem był punkt kontrolny. Niedaleko od tego miejsca leżały zwłoki kobiety oraz dwóch chłopców, mniej więcej w naszym wieku. Mama

zapytała o przyczynę. Posiadali broń. Nasunęło się nam na myśl, gdzie podział swojego „Mauzera” brat. Otrzymał go za zdanie egzaminu do Gimnazjum. Już w Murzynowie dostał polecenie, aby utopić go w stawie. Jak się okazało siedzieliśmy na nim. Umieścił go pod siedzeniem. Można sobie wyobrazić z jakim strachem jechaliśmy w dalszą drogę do Śremu. W domu na szczęście nic się nie stało. Państwo Ilscy zamknęli dom nie wpuszczając nikogo. Sklep również nie ucierpiał, bo był dobrze zabezpieczony.

Śrem był prawie wyludniony i cały na czerwono. Rynek obwieszony flagami ze swastyką. Most na Warcie zerwany, praktycznie nie było przejścia na stare miasto. W zgliszcach tego mostu jedynie jakieś deski dla pieszej przeprawy. Otrzymaliśmy polecenie oddania do Magistratu broni, radia, futra i pianina. Wszystko Niemcy zabrali.

W Masłowie k/Śremu mieszkała Niemka, która dostarczała nam nabiał. Posiadała 4 synów. Zналиśmy ich. Jakie było nasze zdziwienie, kiedy zobaczyliśmy 2-ch w czarnych mundurach SS i dwóch w brunatnych SA. Naturalnie zajmowali czołowe stanowiska w administracji śremskiej. Odwiedzili nas wypytując o Ojczyzna, gdzie byliśmy itp. Zadeklarowali pomoc, o ile będziemy mieć jakieś trudności. Wpadali, ale jedynie ci z SA. Tamci z SS byli już na froncie.

Któregoś dnia we wrześniu dostałam arest domowy. Brat pozwolił mi tylko spojrzeć przez okno. Zobaczyłam wóz, do którego wchodził kolejno Żydzi – nasi współobywatele, mieszkańcy Śremu. Wśród nich moja Ela! Miała wówczas 12 lat. Od tej chwili wszelki ślad po nich zginął.

Na przełomie października i listopada zostało wydane polecenie, aby wszyscy mieszkańcy Śremu zgłosili się na rynku. Chodzili po mieszkaniach i zmuszali ludzi do wyjścia. Rynek otoczony został przez żołnierzy w pełnym rynsztunku bojowym. Na środku postawiono jakąś ogromną tablicę. U podstawy usypano wał ziemny. Nagle z Magistratu wyszedł batalion żołnierzy i stanął w szyku przed tą tablicą. Stojąc na balkonie zobaczyliśmy przerażający widok (mieszkaliśmy blisko rynku). Z Magistratu wychodzili gęsiego ludzie ciesząc się autorytetem, znajomi, którzy żyli wśród nas, których doskonale znaliśmy. Stawiali po dwanaście osób przed tym wałem ziemnym. Otrzymywali strzał i tak kończyli życie. Powtarzało się to 5-krotnie. Następnie ciała wrzucano na ogromny wóz, ociekający krwią. Wywieziono ich na cmentarz. Mogiła była uprzednio przygotowana. Przez tydzień pilnowali jej żandarmi, aby nikt do niej nie podchodził. Koszmar ten przeplącałam chorobą. Rozstrzelania odbywały się jeszcze kilka razy, choć już nie tak demonstracyjnie, przeważnie w lasku za miastem.

Cieszyliśmy się, że wszyscy te niemieckie „jarki” przeżyliśmy. Ojczym nie zajeżdżając do domu, udał się bezpośrednio do Błociszewa do hr. Kęszyckiego. Tam zatrudnił się w charakterze zarządcy. Mama natomiast zmuszona była otworzyć sklep i normalnie handlować. Ciągłe mieliśmy jakieś kontrole, rewizje.

Siostra Babci Jachimowicz była bezdzietna, a jej mąż był w niewoli niemieckiej. Postanowiono mnie zawieść do Poznania, aby rozweselić Ciotkę i żebym też ja zapomniała o koszmarach. Okazało się, że pani pułkownikowa lubi sobie „golnąć”. Zabierała mnie codziennie na ranny spacer, kupując „babkę” (100 gram), którą wypijała w bramie. Kiedy opowiedziałam o tych przyjemnościach Mamie, sielanka rodzinna się zakończyła. Wróciłam do Śremu.

Pewnego dnia przyszli zrobić w sklepie remanenty. De facto zaopatrzenia nie było żadnego, sprzedawano zapasy, a i te pod kontrolą. Wreszcie sklep zamknięto, zabierając klucze. Ponieważ mieścił się w doskonałym punkcie (narożnik w rynku), przeprowadzono remont i przekształcono na księgarnię, która istnieje do dzisiaj.

Zaczęły się wywózki. Mieliśmy przygotowane walizeczki, zawsze pod ręką koc i poduszczkę oraz odpowiednią odzież, w której były schowki. Wywózki odbywały się o różnej porze doby, lecz przeważnie nocą. Wówczas to co zdążyłeś zabrać w ciągu 10-15 minut było Twoje. Z Błociszewa codziennie do mleczarni odstawiano mleko. Korzystaliśmy z tej okazji i z wielką ostrożnością przemycaliśmy paczki z odzieżą. Nosiliśmy się z zamiarem przeprowadzki do Błociszewa. Nie trwało to długo. Pewnego wieczoru wpadł do nas znajomy z S.A. – „Uciekajcie, bo dzisiaj w nocy na was kolej!”. Przed godziną policyjną pojedynczo wychodziliśmy za miasto. Przesłany przez Ojczyzna robotnik szczęśliwie przyprowadził nas na miejsce. Zamieszkaliśmy w oficynie. Mieliśmy do dyspozycji całe piętro (10 pokoi). Właściciel, hr. Stefan Kęszycki, mieszkał jeszcze w pałacu, lecz miał już nadzór niemiecki, który dokonywał spisu dóbr. Lubiałam przesiadywać w bibliotece. Fascynowało mnie to pomieszczenie – olbrzymi pokój, od podłogi po sufit regały, a na nich książki. Zaznajomiłam się z synami nauczyciela, pana Kaczora. Byli w moim wieku. Mieliśmy wspólne zainteresowania i zabawy. Nie trwało to długo, bowiem pewnego dnia w listopadzie zastałam dom wyludniony, a na wszystkich drzwiach pieczęcie. Tej samej nocy wywieziono proboszcza, a kościół zamknięto. Również hr. Stefan miał termin opuszczenia pałacu z chwilą ukończenia remanentu. Było to pod koniec listopada. Pan na Błociszewie, Donatowie, Gaju wyjeżdżał ze swych włości zwykłym, małym wozem, zaprzężonym w jednego konika. Zamieszkał w małym mieszkanku w Śremie. Zginął w Oświęcimiu. Po wyjeździe hr. Kęszyckiego z Błociszewa, zaczęto wywożenie wszelkich ruchomych dóbr z pałacu, pozostawiając jedynie wmontowane meble i regały. Trwało to około tygodnia. Do zupełnie pustego pałacu wprowadził się pełnomocnik niemiecki, pan Meyhofer, który pełnił nadzór nad kilkoma majątkami w okolicy. W okresie międzywojennym był

zatrudniony w majątku niemieckim jako zarządca. Wszyscy doskonale znali język polski, lecz w ogóle się nim nie posługiwali.

Każdego dnia dowiadywaliśmy się o wywózce poszczególnych znaczących gospodarzy, których dobra były natychmiast przejmowane przez Niemców (gospodarzy od świętych boleści). Utworzono komisję, która miała nadzór nad przejętymi majątkami i wymuszała gospodarność oraz niemiecki Ordnung. Przeważnie przyjeżdżali tu przesiedleńcy ze wschodu. Siali postrach we wsi, odgrażając się Polakom. Z synem pana Meyhofera – Horstem zaprzyjaźnił się mimo, że był znacznie młodszy ode mnie. Uczyłam się jazdy na rowerze, jeździliśmy na kucach.

W okresie 1939/40 nagonki na Polaków nie były jeszcze tak drastyczne. Na początku lat 40-tych brat mój ukończył 14-cie lat i zgodnie z zarządzeniem okupanta był zmuszony pracować. Został zatrudniony na majątku Helenki, jako pomoc ogrodnika. Ja natomiast do czternastu lat musiałam uczęszczać do szkoły niemieckiej, aby jak wszyscy Polacy nauczyć się pisać i liczyć. Uczęszczałam do szkoły w Krzyżanowie, oddalonej od Błociszewa o 3 kilometry. Do Śremu nie jeździliśmy. Chodziło o zachowanie ostrożności. Coraz więcej rdzennych Polaków zmieniało swoje zapatrywania i stawało się gorliwymi Niemcami Ci byli najgorsi.

Rok 1940 niczym szczególnym się nie wyróżniał. Chyba jedynie chępliwością Niemców z uwagi na odnoszone zwycięstwa. Polacy coraz częściej odczuwali degradację i słowa „Die schweine Polen”. Usłyszałam to nawet od Horsta, który należał do Hitler-Jugend.

Rodzina Ojczyma została wywieziona z Poznania do Warszawy. Staraliśmy się ściągnąć Babcie (jego matkę). Udało się ją wybronić od wywózki i przyjechała do Błociszewa. Obiecywałam sobie bardzo dużo w związku z jej przyjazdem. Niestety nasze charaktery były bardzo różne. Wywarła ona pewien ujemny wpływ na moje dalsze życie.

Coraz więcej Polaków zniknęło z okolicznych wsi. Ich majątki przejmowali Niemcy. Byli bardzo butni, a przy swoim prymitywizmie stawali się śmieszni.

Nie miałam odpowiedniego towarzystwa. Ze szkoły mnie przegonili, twierdząc, że przeszkadzam. Wałęsałam się więc po wiosce i przeważnie byłam motorem różnych bezdennie głupich wybrzków. Aby jechać do Śremu byłam zbyt młoda. Dorośli musieli mieć przepustki od sołtysa nawet na przejście do następnej wsi. Kontrole były bardzo częste. Widocznie u Meyhoferów zauważono moje zagubienie, bo kazano mi przychodzić do kancelarii pisać na maszynie. Otrzymywałam tekst gazetowy, który codziennie przepisywałam.

Do Meyhoferów przyjeżdżało coraz więcej krewnych. Byli to uciekinierzy z Reichu. Szukali schronienia przed bombardowaniem. Przyjechała z Drezna panna Urszula, kuzynka Meyhoferów – bardzo miła i ładna młoda osoba. Z jej strony nie odczuwał żadnego dystansu z powodu mojej przynależności państwowej. Została szefową kancelarii. Obdarzyła mnie wtedy pewnymi obowiązkami. Na planszy miałam prowadzić wykres dziennego udoju mleka tzw. „Milchcurve”. Kompletnie nic nie rozumiałam. Drugi człon tej nazwy przypominał szkołę. Mieliliśmy nauczycielkę od polskiego panią Heigelmann. Kiedy była bardzo zdenerwowana nazywała nas „k...”.

Wracając do wykresu – prowadziłam go na wycucie. Musieli się serdecznie uśmieć tymi moimi wyczynami. Nieraz widziałam skrywany uśmiech Urszuli. W Mechlinie w kancelarii pracowała córka naszego znajomego nauczyciela, Teresa. Codziennie podawała wielkość udoju dziennego, naturalnie w języku niemieckim i bardzo urzędowo. Znałyśmy się bardzo dobrze. Wiedziałyśmy, że rozmowy są podsłuchiwane, niemniej zaryzykowałam i po polsku zapytałam: „Jak się to robi?” Usłyszałam „ende sprechen Sie nur deutsch”. Ale w korespondencji na kartce otrzymałam szczegółowe wyjaśnienie i od tej pory nie było niebotycznych wzlotów i upadków, lub wręcz kilkudniowa stagnacja.

W kwietniu 1941 roku urodziła się moja siostra. Miałam jakieś konkretne zajęcie, połączone z uczuciami. Chrzest, z uwagi na nieczynne kościoły w okolicy, odbył się w Śremie. Przyjęcie natomiast w Morau – Błociszewie. Zastanawiało mnie bardzo, dlaczego dużo naszych znajomych nie utraciło swoich mieszkań, sklepów i żyli na poziomie sprzed wojny. Chrzestna mojej siostry, mimo że żona oficera, żyła na poziomie i nigdzie nie pracowała.

Do Meyhoferów przyjechał estoński student na praktykę. Wygląd owszem, bardzo miły, niemniej traktował mnie jak coś podrzędnego. W każdej sytuacji dawał odczuć swoje germańskie pochodzenie. „Smolił cholewki” do Urszuli, co ją wręcz oburzało. Ubierał się jedynie w ten swój brunatny mundur SA i najchętniej nosiłby rękę ciągle w górze z hitlerowskim pozdrowieniem. Najzwyczajniej mu przeszkadzałam. Kiedyś oficjalnie stwierdził, że nie powinnam uczyć się pisać na maszynie, skoro dla Polaków jest przewidziana jedynie praca fizyczna. Poskarżyłam się Ojcu i od tej pory przestałam chodzić do kancelarii. Niemcy stawali się coraz bardziej butni i wymagali hitlerowskiego pozdrowienia. Niejednokrotnie dzieciaki obrywały, jeśli któryś tego nie uczynił.

W maju 1942 roku, w przeddzień moich urodzin, otrzymałam wezwanie do Arbeitsamtu. Strach opanował wszystkich. Były prośby do Meyhofera o wstawienie, aby nie wywieźli do Niemiec na roboty. Otrzymałam skierowanie do sklepu spożywczego pana Tetzlafa. Był to duży sklep typu delikatesy. Zostałam przydzielona do obsługi Niemców (znałam język niemiecki). Nie czułam się tam obco.

Spotkałam koleżanki: Helenę, Baśkę, Kryskę. Helena pochodziła z rodziny kupieckiej. Basia była córką profesora śremskiego gimnazjum. Krysia córką urzędnika. Nad całością czuwała panna Sobczak, właścicielka odebranego sklepu (innego).

Nie było lekko. Codziennie o 7-mej rano musiałyśmy być w sklepie, aby przygotować front robót. Ważenie, stawianie, sprzątanie itp. Otwierano o 8-mej. Przerwa od 12 do 14-tej. Pracę kończyłyśmy o 19-tej. Niejednokrotnie zostawałyśmy znacznie dłużej, kiedy trzeba było rozładowywać i znosić towar. Mieszkałam w wynajętym pokoju. W takiej klitce w podwórzu. Ale kiedy ma się 14 lat, świat mimo wszystko jest wesoły.

Pewnego dnia przyszedłam do domu (10 kilometrów), a tu żałoba. Modły, różańce, atmosfera ponura. Rodzice otrzymali ze Szwedzkiego Czerwonego Krzyża bardzo lakoniczne, zapisane na żółtej kartce zawiadomienie, że brat Ojczyrna – Bogdan – nie żyje. Został zabity w obozie w Katyniu. Według naszych przypuszczeń zrobili to Niemcy. Jedyne wróg to był Niemiec i wszystko co niemieckie. Rosjan nie znaliśmy, nigdy nie mieliśmy z nimi żadnych kontaktów.

Wyrosłam. Zaczęły dawać znać braki garderoby. To co otrzymywaliśmy na kartki, to było do życia za mało, a do śmierci za dużo. Wyciągałam garderobę Mamy, która na mnie pasowała, ale wyglądałam w niej bardzo dziwnie. Buzia dziecka – garderoba elegantki. Zdarzało mi się nawet kapelusz założyć. Chciałam być dorosła i tak się wówczas czułam. Niedziele były wolne, więc robiłam wypad. Postanowiłam pojechać do Bydgoszczy do Ciotki. Namówiłam też koleżankę. Wystroiłam ją w kapelusz, ponieważ nie umiała mówić po niemiecku, miała jedynie potakiwać „ja, ja” – kiedy ją dotknę. Byłam w pewnym sensie zorientowana, jak podróżować bez przepustki.

Wsiadłyśmy do wagonu „Nur für Deutsche”. W przedziale powinien być koniecznie jakiś wojskowy w mundurze, wówczas nie bardzo kwapili się kontrolować. Zajeżdżałyśmy do Bydgoszczy bez przeszkód. Tam jednak wielkie rozczarowanie. Na ulicach słychać było jedynie język niemiecki, tak jakbym nagle znalazła się w niemieckim mieście. Największe zdumienie, kiedy okazało się, że rodzina mojej Ciotki zrobiła się Niemcami. Od tamtej pory nigdy nie miałam z nimi styczności.

Droga powrotna nie była już tak beztraska. Do wagonu weszli kontrolerzy i skrupulatnie przeglądali dokumenty. Miałymy szczęście. Siedzący obok oficer Wehrmachtu, widząc moje zdenerwowanie, zorientował się w czym rzecz i stwierdził, że obydwie jedziemy z nim. Niemniej zagroził, abym więcej tego nie robiła, bo to bardzo niebezpieczne.

Wśród koleżanek rozeszła się wieść – jakiś przystojny chłopak przyjeżdża na targ z kapustą i innymi warzywami, które sprzedaje z wozu. Baśka stwierdziła, że sama kupiła 2 główki kapusty, aby móc z nim porozmawiać. Zaciekawiona, w najbliższy dzień targowy wymknęłam się, aby zobaczyć to чудо. Rzeczywiście był bardzo przystojny. Miał zaledwie 18 lat i był... moim bratem. Dziwiłam się bardzo Basi, że go nie poznała. Bogdan był przecież najserdeczniejszym przyjacielem jej brata Władka i stale u nich bywał.

W czasie małego ruchu w sklepie wyznaczano nam różne dodatkowe prace, a że byłam najmłodsza, to przeważnie na mnie padało. Kleiliśmy kartki na arkusze, roznosiliśmy szczególnie unikalne produkty, te spod lady – dla notabli niemieckich, myśliśmy butelki. Szczególnie zimową porą było to nieprzyjemne, bo odbywało się na powietrzu w lodowato zimnej wodzie. Po tej przyjemności zostały mi zreumatyzowane i zniekształcone dłonie. Klejenie kartek odbywało się w mieszkaniu prywatnym pana Tetzlafa. Pomagała małżonka. Nie lubiłam tego zajęcia, bowiem próbowała się ona dowiedzieć jak najwięcej o nas i naszym stanie posiadania sprzed wojny. Miałam zbyt mało doświadczenia, by dyplomatycznie unikać takich rozmów.

Jesienią pan Tetzlaf objął nowy sklep spożywczy przy ul. Mostowej. Dotychczasowy posiadacz zginął na wojnie, a żona nie chciała podjąć tych obowiązków. Wyzaczył Helenę (15 lat) i mnie (14 lat) na kierowniczkę tego sklepu. Do pomocy do prac ciężkich przydzielił Kajtka, 14-latkę, ponoć mężczyznę. Kiedy przejmowaliśmy sklep miał szeroką gamę produktów i liczną klientelę. Cieszył się powodzeniem. W pierwszej kolejności zlikwidowaliśmy naftę – bo śmierdziały ręce, później poszczególne produkty, które absorbowały. Były miłsze zajęcia – rozmowy z chłopakami, których zawsze było bez liku. Wykonaliśmy sklep na tyle, że trzeba było go zlikwidować. Uważam, że pan Tetzlaf był bardzo wymagający, ale szalenie tolerancyjny.

Rok 1945 nie był dla mnie łaskawy. Upatrzył mnie pewien posiadacz sklepu i piekarni. Ponieważ był inwalidą wojennym, załatwił w Arbeitsamtcie przeniesienie. Zaczęłam pracować w piekarni jako ekspedientka. Kiedy zaczynałam pracę wyłuszczył swoje zamiary. Piekarnia i sklep należał uprzednio do państwa Furmaniaków, którzy byli w dalszym ciągu zatrudnieni u niego – pan Furmaniak w piekarni, a pani w sklepie. Planował zwolnić panią. Miałam się rozejrzeć i przyuczyć, aby następnie samodzielnie prowadzić sklep. Sam pan Gruss nie miał przyjemnego wyglądu z uwagi na kalectwo. Miał pięcioro małych dzieciaków. Wszystko razem nie było na mój gust, ale trudno – byłam Polką, a więc niewolnikiem. Nikt mnie nie pytał o zdanie. Nie zdawałam sobie zupełnie sprawy, że ktoś mógł mieć inne plany.

Ojciec został przeniesiony na mały folwark Lipówka – Lindenau k/Dolska. Był tam dworek myśliwski starosty śremskiego. Zjeżdżało się tu całe bractwo, aby zapić, pohulać i połajdaczyć. Okolica przepiękna – wśród lasów i uroczysk, stawów zapełnionych rybami, jezior. Bardzo lubiłam tam przebywać. Otaczał mnie luksus wystroju wnętrz, rozmarzałam się chociażby na chwilę, aby oderwać się od mojej szarej codzienności. U starosty jako niańka do dzieci pracowała moja koleżanka. Jej ojciec był również rządcą w jakimś majątku. Od niej dowiadywałam się, kiedy tam nie jadą i wówczas mogłam niedzielę spędzić w Lipowce.

U Grassa w piekarni nie czułam się dobrze. O 6-tej musiałam już otwierać sklep, gdyż klienci stali już pod drzwiami. Chleb był racjonowany. Przysługiwało 500 gramów dziennie na osobę dorosłą pracującą. Pieczywo pszenne było dla Polaków niedostępne. Nikt nie miał zastrzeżeń, że ta sama osoba wydaje chleb, odcina kartki i pobiera pieniądze nie myjąc rąk do każdej czynności. Każdy był rad, że swoją porcję otrzymał, a jeszcze bardziej, kiedy dostał trochę więcej. Musiałam bardzo uważać, byłam bowiem pod stałą kontrolą państwa Furmaniak. Widocznie wyczuwała intencje Grassa. Po obiedzie sklep zamykano, a ja chodziłam na górę do mieszkania niańczyć dzieciaki.

Wynagrodzenie miałam o 5 marek wyższe niż u Tetzlafa. Moje miesięczne wynagrodzenie wynosiło teraz 20 marek. Problem w tym, że nie miałam na co wydać i co zrobić z pieniędzmi. Kupowałam pocztówki z aktorami, broszki i różne inne duperele. Rodzice dbali o mój byt doczesny i absolutnie się tym nie zajmowałam. Nigdy nie byłam głodna. W tym wieku dziewczyna zaczyna dbać o swój wygląd. Wystarczała mi u Tetzlafa garść płatków owsianych z cukrem, tutaj natomiast kromka suchego chleba. Nigdzie nie wyjeżdżałam, wszelkie „voyage” nie wchodziły w grę. Poranne wstawanie miało swoje ujemne skutki, ponadto nie było odpowiednich wiekiem i zainteresowaniami koleżanek.

Po raz pierwszy się zakochałam. On miał również 15-cie lat. Był synem oficera Wojska Polskiego, który przebywał w obozie jenieckim na terenie Niemiec. Zatrudniony był w kinie jako operator. Była to miłość pełna romantyzmu, wzniesień, przysiąg, zazdrości oraz łez. Po prostu miłość „chmurna i duma”. Godzina policyjna utrudniała randki (w lecie od 22-giej, zimową porą od 21-szej), a i jego praca kolidowała z tymi godzinami. Miał dużo nieprzyjemności. Urywał się podczas projekcji, zostawiając film na szpuli. Wyświetlał filmy dla Niemców. W latach wzniosłych od miłosnych uniesień każda chwila staje się wielkim wydarzeniem.

Wiosną po raz pierwszy miałam okres. Byłam bardzo przerażona. Nic nie wiedziałam, nikt mnie do tego nie przygotował, ani nawet nie wspominał, że coś takiego istnieje. Stało się to na ulicy. Miałam szczęście, że spotkałam mądrą osobę, która w bardzo taktowny sposób zwróciła uwagę: „Masz brudne nogi, ale się tym nie przejmuj, to ma każda kobieta. Zwróć się do lekarza lub mądrej dorosłej kobiety, niech ci wytłumaczy.” Zwróciłam się do mojej gospodyni, ale dowiedziałam się, że jest to miesięczka i nic poza tym. Ogólnie temat seksu i rodzenia oraz sprawy z tym powiązane były wówczas tabu. Tego typu tematy nawet wśród koleżanek nigdy nie były poruszane.

Bardzo reklamowany film „Jud Suss” – słodki Żyd – był wyświetlany jedynie dla Niemców. Miał być ponoć bardzo ciekawy. Zobaczyłam to cudo w bardzo ciasnej klatce operatora, siedząc w kucki. Po filmie czułam ogromny niesmak. Postać tam występująca była bardzo niesympatyczna. Film przywołał u mnie wspomnienia Eli i wszystkich jej krewnych. Ela – kochana, słodka dziewczyna. Ile podróży w marzeniach wspólnie odbywałyśmy. Ile wyobrażałyśmy sobie przyjęć, balów, uniwersytetów – naturalnie pierwszy w Paryżu!

Dom, w którym Ela mieszkała był zajęty przez folksdojczkę, notabene kuzynkę mojej serdecznej przyjaciółki – Polki. Fakt sprzeniewierzenia się narodowi poróżnił te rodziny na tyle, że z sobą się nie kontaktowały. Była to raczej wrogość. Zaczęłam rozmyślać nad losem Żydów. Nie miałam żadnej wiadomości od Eli. Gdyby żyła na pewno by napisała cokolwiek o sobie i rodzinie. Bożnicę – kościół żydowski – Niemcy zupełnie zlikwidowali, zrównali z ziemią. Pozostał jedynie pusty plac, na nim rósł rozłożysty kasztan, niemniej ludzie omijali ten skwerek, traktując jak coś wyjątkowego.

Również cmentarz (Kirkut), mieszczący się na wzgórzu za drugim mostem martwej Warty, został kompletnie zniwelowany. Najgorsze było to, że czaszki i kości zmarłych wały się na powierzchni ziemi. Nie było wolno nikomu do tego miejsca się zbliżać, a donosiciele mieliśmy dostatecznie dużo.

W naszym przedwojennym sklepie, przebudowanym na księgarnię, rozmieszczono w witrynach zdjęcia ofiar Katynia. Naturalnie z odpowiednim komunikatem, że zrobili to Rosjanie. Nikt temu nie wierzył. Ogólne uznawano, że to sprawa Niemców, którzy obecnie się usprawiedliwiali.

Było coraz bardziej ponuro. Wokół porozwieszane plakaty tajemniczego osobnika i napis – „wróg słucha”. Znaczyło, że nie są pewni swojej egzystencji na tak łatwo zdobytych terenach. Nasilała się wrogość do Polaków. Niepowodzenia na frontach, jak również bombardowania miast niemieckich, zburzyły ich sielankowy byt i radość z łatwo osiągniętych dóbr doczesnych. Dali mi to odczuć Grussowie w czasie popołudniowych pobyków na górze. Początkowo było jedynie „przytłum”, później „wytrzyj” i „podetrzyj”. Tyle rozwrzeszczanych bachorów nawet anioła wyprowadziłoby z równowagi.

Czas upływał. Monotonia codziennego kieratu nie napawała optymizmem. Nadzieja jedynie pozwalała na chwile radości. Genio pożyczal wówczas dla mnie rower i mogłam spędzać ten czas w in-

nej atmosferze. Spacery – to bezmyślne krążenie wokół miasta. Przebywanie w parku jedynie dla Niemców. Jesienią przyjechały Genia kuzynki. Za sprzeniewierzenie otrzymały mleczarnię pod Warszawą. Najmłodsza była w moim wieku, roześmiana, wesoła, beztroska. Jak bardzo zazdrościłam jej tego wszystkiego, co zgodnie ze swoim wiekiem powinnam mieć.

Ojca nagle przenieśli do majątku Żegocin k/Pleszewa. Podobno poprzedni zarządca popełnił jakieś szwindle, lewe interesy i był poszukiwany przez Gestapo. Majątek otrzymał za zasługi jakiś generał niemiecki. Nagle dom oddalił się o 50 kilometrów i nawet chwile wytchnienia zostały odebrane.

Zaczął się rok 1944. Wśród Polaków nie było entuzjazmu. Sukcesy na froncie rosyjskim były tak odległe. Gazety i kroniki pełne były buty i zwycięstw. W połowie lutego wezwano mnie na zaplecze sklepu. Kiedy zobaczyłam dwóch żandarmów skamieniałam. Kazali opróżnić kieszenie w mojej kurtce, która tam wisiała. Zdębiałam, kiedy wyciągnęłam z nich odcięte kartki na pszenne pieczywo, które przysługiwało jedynie Niemcom. Kartki te nie były mi do niczego potrzebne. Zaczął się wrzask. Ktoś uderzył mnie w twarz. Jak złodzieja poprowadzili mnie do pokoju, w którym mieszkałam. Zaczęła się rewizja. Jakie było ich zdziwienie, kiedy w szafie znaleźli wszelkie niedostępne dla Polaków dobra, mianowicie jaja, szynkę, kiełbasę, masło, smalec, słoninę – częściowo nadpsute. Aprowizacją zajmowała się Mama, przeważnie przywoziła i wkładała do szafy, a gospodyni w razie potrzeby brała, aby przygotować jakiś posiłek. Dziewczyny w tym wieku są przeważnie niejadkami i ja również się do nich zaliczałam, więc do szafy często nie zaglądałam. Przerzucili całe mieszkanie i zabrali mnie na policję. Epitetów było co niemiara. Zamknęli w areszcie z groźbą, że jeśli wszystko to co powiedziałam się nie sprawdzi, to najpierw zbiją mnie na „kwaśne jabłko”, a następnie czeka mnie obóz pracy, za działalność na szkodę narodu niemieckiego. Tyle Niemców na froncie umiera z głodu i zimna „und Du polnische, szrekliche szwein” niszczysz jedzenie. Siedząc w tym areszcie byłam naprawdę przerażona – nie z powyższego incydentu, ale dlatego, że co pewien czas jakiś starszy żandarm otwierał drzwi i kazał spuszczać majtki i siadać na kibel. Powtórzyło się to 4-5 razy. Siedziałam do wieczora. Nie było bicia na kwaśne jabłko, ale dość dotkliwie.

Na drugi dzień przyjechała Mama. Poszliśmy do Grussa. Z rozwścieczonego do białości w dniu poprzednim, zrobił się potulnym barankiem i wręcz przeproszał Mamę. Nie znał mojej sytuacji bytowej. Gdyby ją znał na pewno by do tego nie doszło. Obecnie ma pewność czyja to sprawa. Miałam w dalszym ciągu u niego pracować. Kategorycznie odmówiłam. Wstydziłam się bardzo, bo sądziłam, że wszyscy ludzie w Śremie będą mnie nazywać złodziejką. Poszliśmy z Mamą do Arbeitsamtu. Proponowano mi kilka innych sklepów, ale nie chciałam już pracować w jakimkolwiek zakładzie lub fabryce. Otrzymałam skierowanie do Arbeitsamtu w Jarocinie, gdzie zaproponowano mi albo zakłady „Yocke-Wulf” albo szwalnię, szyjącą dla wojska. Wybrałam „Yocke-Wulf. Mama opowiedziała o obecnej siedzibie, do której zostali przeniesieni. Żegocin – majątek hr. Chłapowskich (Helena Modrzejewska). Zostali zakwaterowani w pałacu. Połowę zajmowali rodzice, drugą połowę główny księgowy z rodziną. Poprzedni zarządca, niejaki pan Zalewski robił interesy na własną korzyść. Sprzedawał bokami spirytus, zboże, żywiec. Generał, który tam rezydował nie bardzo znał się na gospodarstwie. Machlojki pana Zalewskiego zostały jednak ujawnione i poszukiwany był przez Gestapo. Jak wynikało z opowiadań Mamy, Gestapo ciągle tam myszkowało, nie tylko w majątku, ale również w zabudowaniach chłopskich i u gospodarzy. Była podenerwowana twierdząc, że sytuacja jest wręcz okropna i sugerowała, abym lepiej nie wybierała się do Żegocina sama. Raczej to ona będzie przyjeżdżać do Jarocina.

Zakłady „Yocke-Wulf” mieściły się w klasztorze. Montowaliśmy tablice i wszystko, co było powiązane z przewodami elektrycznymi. Zakład mieścił się na drugim piętrze. W tym samym budynku mieścił się Arbeitsamt i inne urzędy użyteczności publicznej. Za miastem znajdował się barak przeznaczony na zamieszkanie dla dziewcząt ze szwalni, jak również dla nas. Dziewczęta pochodziły z różnych miast zachodniej Wielkopolski. Zostałam przydzielona na taśmę produkcyjną. Każda pracownica miała wyznaczony czas montażu poszczególnych części tablic. Trwało chyba miesiąc, zanim ustalili moje miejsce. Pracowników strzegło dwóch wehrchmanów, reszta siedziała przy zegarze. Czas pracy od 6-tej do 18-tej, miesięczne wynagrodzenie 50 marek. Przerwa na śniadanie 15 min., obiad 50 min. (otrzymywałyśmy na miejscu). Raz w miesiącu przepustka do domu. Zapoznałam Jankę z Czempina, z którą znalazłyśmy sobie oddzielną kwaterę. Mieściła się na strychu u właścicieli młyna. Towarzystwo, jak i praca w tym babińcu bardzo mi odpowiadały. W Jarocinie nikogo nie znałam, a więc nie miałam możliwości określać postaw obywatelskich. Skorzystałam z zaproszenia i na Święta Wielkiej Nocy pojechałam do koleżanki Geni do Poznania. Przeżyłam jeden z najcięższych nalotów na miasto. Bombardowali Anglicy. Kiedy po odwołaniu alarmu wyszłyśmy na zewnątrz, ze zdziwieniem stwierdziłyśmy, że jedynie nasz dom stał cały. Z prawa i lewa były zbombardowane. Święta się nie udały.

Dowiedziałam się dużo o sytuacji w Śremie. Śremskie „vokstraty” zaczęły wyprowadzać się całymi rodzinami. Zaczęła się migracja w odwrotną stronę. Naszych chłopaków zabierali do kopania rowów na miejscu, w okolicy lub wywozili do Niemiec. Otrzymałam list od brata Bogdana, że również wylądował gdzieś w Niemczech i studiował „łopatologię”.

W okresie wakacji przyjechały z Niemiec absolwentki szkół średnich do pracy w zakładzie. Wakacje były skrócone. Nam Polakom nie wolno było się z nimi kontaktować. Niektóre z nich smętnie się uśmiechały, ale o dyskusji nie było mowy. Ponownie ogarniała mnie szewska pasja – dlaczego?

Nie zapowiadana wybrałam się do Żegocina – pociągiem do Pleszewa, a później „per pedes” 11 kilometrów. Majątek bardzo ładny, pałac sfatygowany, lecz ten, w którym mieszkał generał był prawie nowy. Była radość i niezrozumiałe dla mnie przestrogi, aby specjalnie nie chodzić po obejściu. Po długiej przerwie pojeździłam konno. W pałacu nie było kanalizacji ani też sanitariatów. Z sypialni rodziców było utajnione wejście do kąpielnicy, lecz nie spełniał on swego przeznaczenia – znajdowało się tam mnóstwo starych i cennych książek, ułożonych po sam sufit. Książki pisane były po staropolsku, polsku i łacinie, oprawne w skóry i safiany. Z tego pomieszczenia było również utajnione wyjście. Wychodziło się za fortepianem, który stał w szerokim korytarzu. Na tymże korytarzu stały również dwa inne pianina.

Ojciec na własną odpowiedzialność, naturalnie za cichą aprobatą generała, prowadził kursy rolnicze dla młodocianych chłopców z okolicznych gospodarstw. Był lubiany i szanowany za swoją fachowość.

Drogę powrotną do Pleszewa przejechałam na rowerze, zostawiając go w umówionym miejscu. Dalej pociągiem do Jarocina. W międzyczasie zawarłam znajomość z rodowitą jarocinianką, Ziutką Józwiak. Rodzina jej mieszkała w rynku – 4 osoby w jednym bardzo małym pokoiku. Niemniej przyjmowali mnie bardzo serdecznie. Szczególnie ojciec Ziuty był bardzo komunikatywny, wesoły, urodzony społecznik, pracował w tartaku. Od nich dowiedziałam się, że do rodzin polskich wracają zagubione owieczki, które na wschodzie Polski z innym obywatelstwem szukały lepszego życia.

Coraz częściej zauważam, że staję się obiektem zainteresowania panów – uśmieszki, umizgi itp. Zaczął mnie zaczepiać jakiś umundurowany Niemiec, oferując owoce południowe i słodycze. Jakie było moje przerażenie, kiedy pewnego dnia spotkałam go na schodach do naszego pokoju z torbą słodyczy. Naturalnie uciekłam.

Przeniosłam się do koleżanek, które mieszkały na ul. św. Ducha. Wprawdzie znacznie dalej od zakładu, ale bezpieczniej. Mieszkałyśmy w podwórzu: Genia z Poznania, Tereska z Kościana, Janka i ja. Z nieujawnionych przyczyn często zaglądał do nas posterunkowy – stare, rubaszne dziadziśko. Od pana Józwiaka dowiadaliśmy się o zwycięstwach Rosjan i spodziewanym rychłym wyzwoleniu. Podobno Niemcy dostawali dobrego łupnia, natomiast front zachodni posuwał się bardzo powoli. Niemcy, byli przerażeni kontaktem z Rosjanami. Karą najdotkliwszą było wysłanie na front radziecki. Na zachodni godzili się, byli nawet skłonni iść na ochotnika. Tabory na szosach są coraz liczniejsze, uciekają wszyscy do ukochanej ojczyzny.

Wśród poznaniaków i warszawiaków istniały odwieczne antagonizmy. W czasie okupacji wszystkich tych, którzy zamieszkiwali po prawej stronie Wisły nazywano gołe Antki, natomiast my byliśmy pyrami. Skąd się wzięli Szkoci? To poznaniacy wyrzuceni za rozrzutność. Kiedy dowiedzieliśmy się o powstaniu powszechna była opinia, że Antki rozpętały swoją wojnę. Wiedzieliśmy, że Anglia, Ameryka i Rosja zawarły układ o całkowitym zniszczeniu Niemiec. Wiedzieliśmy, że konwoje płynące do Murmańska dostarczają nieustannie broń, żywność i inne sprzęty. Wiedzieliśmy, że w tych konwojach brały udział polskie okręty i nasi marynarze. Oglądaliśmy „Wochenschau”. Nikomu nie mieściło się w głowie, aby w środku działań wojennych wzniecać powstanie. Nikt się tym nie przejmował. Byliśmy zawiedzeni, że front zatrzymał się na Wiśle. Tak blisko i tak daleko. Winą obarczaliśmy ten warszawski zryw. Niemcy byli coraz bardziej rozdrażnieni, a tym samym wrogo nastawieni. Gestapowca każdy omijał z daleka, jak trędowatego, a byli coraz częściej widoczni. Wojska coraz więcej kręciło się po mieście. U nas w zakładzie zaczęto mówić o przeniesieniu do Magdeburga, gdzie mieściła się fabryka. W Poznaniu i Jarocinie były jej filie.

Minęły święta. Rozpoczął się rok 1945. Mieliśmy nadzieję, że to ostatni w niewoli. Zaczęto palić dokumenty, na ulicach przed urzędami urządzano ogniska. Naloty były coraz częstsze. Wprawdzie na Jarocin bomby nie spadały, ale wędrówki do lasu były codziennością. Wyczuwało się radość i strach zarazem. Panował rozgardiasz: tabory uciekających Niemców, a zima tamtego roku była naprawdę niezwykle mroźna. Dochodziły wieści o napadach i mordach na uciekających. Wielu zamarzało w swoich wozach. O Magdeburgu mówiono już dość otwarcie i przygotowywano ewakuację. Henio, nasz brygadzysta, gdzieś się ulotnił. W lutym słychać było groźne pomruki. Z każdym dniem coraz donośniejsze i bliższe.

Planowałam ucieczkę, aby nie jechać do Magdeburga. Poradziłam się pana Józwiaka. Akceptował moją decyzję, ale proponował, aby stale się z nim kontaktować. Któregoś lutowego dnia, kiedy wyraźnie słychać było eksplozje i wybuchy, a ziemia drżała czułam, że nadszedł odpowiedni czas. Skorzystałam z okazji w czasie alarmu i zamiast do lasu, wybrałam się do Żegocina. Przyszłam wieczorem kompletnie zmęczona i głodna. Zamiast radości był strach i lament. Dopiero wówczas dowiedziałam się, że przez cały okres pobytu Ojca w Żegocinie ukrywali i żywili poszukiwanego byłego rządcę, pana Zalewskiego. „Jak jeszcze ciebie będą poszukiwać, to już chyba nie wytrzymamy” – usłyszałam. Na drugi dzień generał opuścił Żegocin. Zabrał jedynie neseser. Był przeświadczony, że



najwyżej tydzień i nastąpi niemiecka kontrofensywa, a wówczas wróci. Oddając ojcu klucze zarządził osobisty dozór nad pozostawionym mieniem. Na drugi dzień po wyjeździe generała, pan Zalewski „zhardział” i zażądał kluczy do budynku, w którym mieszkał generał: „Mam dość siedzenia w śmierdzącym gołębniku. Muszę rozprostować kości”. Żadna perswazja, że Ojciec będzie miał kłopoty, nie pomagała. We wsi miał swojego człowieka, który był poinformowany, że ukrywamy Zalewskiego. Był nim stróż pan Kościuszko. Razem zorganizowali płądrowanie budynku, ale ludzi, którzy przyszli kraść wpuścili tylko na dolne kondygnacje. Ludziska wynosili co się dało: kompoty, garnki, talerze oraz różne bezwartościowe przedmioty.

Raptem usłyszałam podniesione głosy w obcym dla mnie języku. Byłam pełna radości, że oto przyszło upragnione wyzwolenie. Nagle zobaczyłam skierowane w naszą stronę karabiny i usłyszałam słowa: „Ot germańskie burżuje. Ruki wierch – ty germaniec”. Przez moment zrobiło mi się słabo. Jaki ja germaniec? Przeszli wszystkie pomieszczenia, powyrzucali zawartość szaf i szafek, piernatów itp. i odeszli. Około południa taki sam tumult, ale przez okno zauważyłam wszędzie masę wojska – w parku, na podwórzu. Wjeżdżali na motorach i samochodami. Wreszcie dowiedziałam się, że będziemy gościć radzieckiego generała i jego świtę. W kuchni rozpoczęły się przygotowywania do uczty. Wszystko nadzorowali jego ludzie. W końcu wszedł pan w czerwonych lampasach. Jakiś taki miły, uśmiechnięty, bardzo bezpośredni, kontaktowy, do którego natychmiast czuło się sympatię. Za nim wciskało się różnego rodzaju ugwieżdżone bractwo, plus dwie kobiety. Rozmowa była prowadzona na migi, ale raczej mogliśmy się porozumieć. Niektóre słowa były takie same jak polskie.

Na to przyjęcie naturalnie wystroiłam się. Założyłam wszystko, co miałam najlepszego, łącznie z moją skromną złotą i srebrną biżuterią. Miałam dwa łańcuszki – jeden komunijny, drugi z medalionem z podobizną rodziców, zegarek, bransoletkę, pierścionek. Tak wystrojoną usadzili mnie na końcu stołu obok jakiegoś kapitana. Wznoszono toasty, a ja po raz pierwszy posmakowałam wódki. Zakreśliło mi się w głowie i straciłam świadomość. Kiedy się ocknęłam zauważyłam, że wszystkie moje precjoza zniknęły. Zniknął również kapitan, który siedział obok. Wówczas generał z bardzo jowialnego przemienił się w burzę gradową, wydawał jakieś rozkazy i niebawem wszystkie moje precjoza znalazły się.

Biesiadowali do wieczora, ale już więcej wódki nie wzięłam do ust. Stwierdziłam, że to nic dobrego. Opinie po bytności wojska nie były pochlebne – zdarzyło się kilka gwałtów i kradzieży. U nas w majątku spustoszenie gorzelni. Gorzelnia miała przygotowane wszystkie zbiorniki do odstawy. Nie zdążyli odebrać spirytusu, więc napełniano wszystkie tanki, bańki, garnki, kanistry. Spirytus płynął strugą przez podwórze. Z żołnierzami konkurowali wiejscy chłopci. Kilku żołdatów utopiło się w kadziach. Cała masa nieprzytomnych z przepicia. Zabrali to pijane bractwo na wozy i odjechali. Za wojskiem ścigały maruderzy i to było najgorsze. Wracali z przepustek, ze szpitali itp. Zdążyli do swoich jednostek, ale z zamiarem, aby tam nie dojść. To ich rękami likwidowano niewygodnych sąsiadów, rozstrzygano waśnie, gwałcono, mordowano, bito. Byli przekonani, że znajdują się już na terytorium Niemiec, a my jesteśmy Niemcami. Jeden z pracowników majątku mieszkający najbliżej parku miał 5 córek. Odgrodził schowek, w którym chowały się w razie pokazania się tej „hordy”. Zaprosili i mnie.

Któregoś wieczora słyszę rumor i krzyki podpitych wojaków i słowa: „U was harosza doczka – nam skazali”. Spałam. Mimowolnie zsunęłam się w nogi mojej śpiącej siostry i przykryłam pierzyną. Kiedy weszli do sypialni Mama zorientowała się w sytuacji i usiadła na skraju łóżka, zasłaniając wypukłość. Wskazywali na śpiącą siostrę, że to jest ta „harosza doczka”. Popatrzyli, przytaknęli. Zgwałcili Mamę. Było ich pięciu. Ojciec otrzymał cios karabinem w głowę i wyrzucony został z pokoju. Około północy, kiedy Mama stwierdziła, że to żołdactwo śpi, wepchnęła mnie do sekretnego pomieszczenia i kazała uciekać do gorzelni. Schowałam się za jakimś słupem. Przez okienko mogłam obserwować, co dzieje się na zewnątrz. Wokół słyszałam piski szczurów. Przebiegały po nogach. Stałam skamieniała ze strachu i zimna.

Zaczął świtać, gdy dwóch zbirów wyszło z domu kierując się na podwórze. Raptem znalazł się przy nich stróż Kościuszko. Pomagał zaprzęgać konia do wozu. Podjechali pod wejście i zaczęli ładować toboły. W pewnym momencie wyprowadzili Ojca i głównego księgowego przed dom, szykując się, aby ich rozstrzelać. Nagle poruszenie. Przez park biegł żołnierz niemiecki – st. sierżant w pełnym uzbrojeniu. Schwytali go i przyprowadzili na podwórze. Ojciec i księgowy korzystając z okazji uciekli, a Rosjanie rozstrzelali Niemca. Zabitego rozbili i zabrali buty. Wsiadli do przygotowanego wozu i odjechali.

Jeden z pracowników powiedział Ojcu, że widział jak Zalewski rozmawiał z maruderami i kierował ich do pałacu. Tak się odwiedzają ludzie za roczne utrzymanie z narażeniem życia całej rodziny. Kiedy minęło napięcie zdałam sobie sprawę, że nade mną czuwa Boska opaczność. Już trzeci raz wyszłam z ciężkiej opresji bez szwanku.

Kiedy Zalewski dowiedział się, że znamy inicjatora zaszłych zdarzeń, zażądał od Ojca, aby ustąpił ze stanowiska i wyjechał z Żegocina. „Ja tu byłem pierwszy, mam kontakt z gestapowcami, którzy mieszkają w Warszawie i oni zobowiążą mnie do pilnowania majątku” – twierdził. Jednocześnie Zalewski

z pomagierem wywozili gdzieś dobytek pozostawiony przez niemieckiego generała. U nas znajdowały się jeszcze cenne książki, które prawdopodobnie przez niego były zgromadzone.

Wywieziono mnie do Jarocina. Na wozie stał pług, a pod pługiem siennik. Ja przykryta słomą. Tak przetransportowana znalazłam się u Józwiaków, którzy zgodzili się mnie przetrzymać. Józwiakowie zmienili mieszkanie. Z ciasnego pokoiku w rynku przenieśli się do trzypokojowego mieszkania opuszczonego przez Niemców. Miałyśmy z Ziutą oddzielny pokój. Pan Józwiak zabezpieczył tartak i starał się o ponowne jego uruchomienie. Znaleźli się chętni i jakoś to ruszyło. My pracowałyśmy w biurze.

Na dworcu stworzono placówkę PUR (Państwowy Urząd Repatriacyjny)\* gdzie migrujący ludzie mogli się przespać, wypić gorącą kawę, otrzymać pomoc sanitarną. Werbunek był ochotniczy. Naturalnie zgłosiłyśmy się z Ziutą. Byłyśmy pełne entuzjazmu w nowo tworzącej się sytuacji. Noce były bardzo urozmaicone: dobijanie się do domostw, krzyki uciekających dziewcząt itp. Tak to bywa w okresie bezprawia, kiedy nie ma odpowiednich służb porządkowych. Józwiakowie postanowili wziąć na pokój oficera radzieckiego, prawdopodobnie z NKWD. Był to jakiś major, szalenie inteligentny, dobrze wychowany, kulturalny. Osobnik ten bywał w domu bardzo rzadko, ale mieliśmy telefon polowy, z którego w razie jakiegoś napadu dzwoniłyśmy. Pomoc nadchodziła natychmiast. Kiedyś, gdy wieczorem pokazywał zdjęcia swojej rodziny, opowiedziałam mu, jak bardzo obawiam się o los moich rodziców i siostry. Ofiarował się pojechać ze mną do Żegocina. Zajechaliśmy na moment, kiedy rodzice wyprawiali się do wiejskiej, rozwalającej się chałupy. Zalewski wraz z Kościuszką stali przy wozie, który miał przetransportować nędzny dobytek. Byli skłonni wertować zawartość tobołków. Wróciłam do Jarocina spokojna, że rodzice żyją. Wkrótce rodzice zamieszkali w Śremie. Ojciec otrzymał pracę w folwarku. Brat był w Śremie pierwszy. Miał zamiar zająć nasz przedwojenny lokal, ale państwo Iłscy – właściciele domu – oświadczyli, że posiadają 3 córki i każda z nich będzie miała oddzielne mieszkanie. Bogdan zajął więc willę przy ul. Dutkiewicza, czekając na nasz powrót. W Śremie zorganizowano Straż Miejską, do której brat należał. Zapobiegali kradzieżom, rozbojom, a szczególnie napływowi różnych „niebieskich ptaszków”. Zaczęto organizować szkolnictwo. Dzieciarnia szkół podstawowych już kontynuowała naukę. Prowadzono nabór i egzaminy do gimnazjum.

Zostałam uczennicą I klasy gimnazjum. Każdą klasę miałyśmy przerabiać w ciągu 5 miesięcy. Potem miesiąc wakacji na semestr. Powracali chłopcy z tułaczki z Generalnej Guberni. Oni uczęszczali już do liceum, chociaż naukę podstawową zaczęliśmy jednocześnie. Bogdan został powołany do wojska i skierowany do Skierniewic. 22 maja do koszar w Śremie wróciło nasze wojsko. Ze szkoły zostałam wytypowana do powitania. Całe miasto wyległo na rynek, gdzie nastąpiło powitanie. Na czele szedł porucznik w polskim mundurze. Był bardzo przystojny. Kiedy podeszłam z ogromnym bukietem białych piwonii, on pocałował mnie w rękę. Łzy jak perły toczyły się po policzkach.